

Droga do miejsca odosobnienia była koszmarem. Najpierw przeszło cztery godziny siedziałem w półciężarówce na jednej z dwóch umieszczonych naprzeciwko siebie drewnianych, niewygodnych ław, po czym, kiedy już wszystkie miejsca w aucie były zajęte, jeździliśmy kolejno do wszystkich czterech aresztów w mieście. Ja oczywiście zostałem zawieszony do więzienia odwiedzonego przez nas na samym końcu. Miałem już tego serdecznie dość.

W międzyczasie mieliśmy dwukrotnie możliwość załatwienia swoich potrzeb fizjologicznych. Ja wysiadłem z ciężarówki tylko po to, by rozprostować zdrętwiałe nogi. Ogólnie czułem się tragicznie. Chciało mi się pić, o jedzeniu nawet nie pomyślałem. Wszystko przez te nerwy zaciskające niewidzialną klamrę na moim żołądku. W ustach czułem smak możliwy do uzyskania tylko i wyłącznie wtedy, kiedy przez dwie doby nie skorzysta się ze szczoteczki i pasty do zębów. Najgorszy jednak był nasilający się coraz bardziej ból w okolicach obu skroni. Był on efektem kolejnej fali stresu ogarniającego cały mój układ nerwowy. Ten wehikuł nie posiadał chyba zawieszenia, przeklinałem wtedy na zmianę pana prokuratora i sędziego.

Na miejscu zostaliśmy wyprowadzeni z, jak się w trakcie drogi dowiedziałem, pojazdu zwanego potocznie kabaryną, następnie przeliczeni i na koniec zamknięci w czymś, co chyba miało być poczekalnią. Już przy samym wychodzeniu z kabaryny moje odczucia były paskudne. Dookoła nas widziałem szare kilkupiętrowe budynki z zakratowanymi całkowicie oknami. Samo przebywanie w tym miejscu mogło przyprowadzić o klaustrofobię. Pomieszczenie, w którym nas zamknęto, było wysprzątane, lecz ogólnie sprawiało wrażenie strasznie przygnębiającego i nieprzyjemnego. Być może spowodowane było to tym, że szare, malowane ostatni raz chyba z dwadzieścia lat temu ściany, tworzyły idealnie beznadziejne zestawienie z ciemnym, wytartym linoleum, tak samo zresztą wiekowym. Z tego wszystkiego nie zauważyłem małego okienka znajdującego się naprzeciwko drzwi wejściowych. Dostrzegłem je dopiero wtedy, gdy z niemałym hukiem otworzyło się.

Wyczytano pierwsze z nazwisk, po czym jego właściciel miał podejść do okienka, by otrzymać zestaw rzeczy, które mu się należą. Z przerażeniem obserwowałem, co też od tej chwili będzie stanowiło tymczasowo moją własność.

Były to plastikowe sztućce, plastikowy talerz, plastikowa miska, mająca być pomocną przy spożywaniu zupy, równie plastikowy kubek, poduszka, która tak naprawdę tylko ją imitowała, dwa prześcieradła, dwa koce, dwa niewielkie ręczniki z wyszytym, a jakże by inaczej, logiem Z-K A-Ś, mała szmatka, diabli wiedzą do czego, szczoteczka wraz z pierwszy raz widzianą przeze mnie odmianą pasty do zębów, jednorazowa maszynka do golenia mająca starczyć mi na miesiąc, w zestawie z kremem do golenia, przy którym Wars jest marką ekskluzywną, jedno szare mydło, a na końcu otrzymałem za małe zielone, znoszone spodnie robocze i równie zużytą szarą bluzę, pozbawioną trzech z pięciu guzików, plastikowe klapki i toporne skórzane buty.

Pozytywnym skutkiem braku jedzenia było ogólne ośpienie, dzięki któremu nawet nie pomyślałem, by się zdenerwować albo rozpłakać, nie wiem, co lepsze.

Kiedy już wszyscy dostaliśmy swoje „zestawy”, okienko znów z wielkim trzaskiem zamknęło się, my natomiast znów na czterdzieści minut zostaliśmy pozostawieni sami sobie.

Zanim zostaliśmy porozmieszczani w celach, jak to określano, przejściowych, dostaliśmy po półtora litra wody, po połowie chleba i po dwie konserwy z pasztetem. Wszyscy na dziesięć minut zamilkli, połykając niemalże w całości otrzymane jedzenie. Chwilową ulgę zaspokojenia głodu natychmiast zastąpiło zmęczenie.

Czułem się tak wymęczony psychicznie, że było mi wszystko jedno, gdzie zostaną ulokowani, bylebym tylko mógł położyć się spać. Ostatecznie wraz z czterema innymi skazanymi zostałem ulokowany w celi numer dwa. Wszyscy ledwo doszliśmy do miejsca naszego zakwaterowania.

Kiedy przekroczyłem próg celi, dotarło do mnie, że na dołku nie było jeszcze tak źle. Pomieszczenie, w którym obecnie się znajdowałem, było miejscem, najdelikatniej mówiąc, paskudnym. Każda ze ścian pomazana była flamastrem, długopisem lub ołówkiem. Napisy oczywiście nie należały do esencji myśli filozoficznych. „Jebać szmatę z centrum”, „Olek H. to kurwa”, „Chuj w dupę sądowi” – to tylko trzy z trzystu trzydziestu trzech napisów tworzących niesamowicie oryginalną, niespotykaną nigdzie indziej oraz naszpikowaną wszelkimi możliwymi błędami tapetę.

Piętrowe łóżka, stojące wzdłuż ścian, pamiętały jeszcze czasy drugiej wojny światowej, za to materace na nich leżące nie odbiegały zbyt stanem używalności od tych, jakie dostałem na dołku. Na środku zaś stał metalowy, znacznych rozmiarów stół.

W jednym z narożników pomieszczenia znajdowała się toaleta, choć tu bardziej adekwatnym słowem byłby „kibel”. Od pozostałej części pomieszczenia oddzielał go niewielki parawanik zrobiony z prześcieradła. W środku kibla była ledwo trzymająca się ściany umywalka, nieczyszczona chyba od początku swego żywota. „Fantastycznie” – pomyślałem. Każdy z nas czym prędzej pościelił swoje łóżko i położył się na nim.

Sen przyszedł natychmiast. O godzinie dziewiętnastej zostałem jednak brutalnie z niego wyrwany. Okazało się, że jest to pora apelu, czyli zmiana strażników, a przy okazji kontrola, czy aby nikt z więźniów nie uciekł. Ponieważ wszyscy spaliśmy, nikt z nas nie usłyszał otwierających się drzwi celi.

Jeden ze strażników wszedł do środka, wymierzając dwa solidne kopniaki w najbliższe znajdujące się łóżka. Natomiast dwóch pozostałych zaczęło głośno się śmiać. Nawet nie wiem, kiedy stanąłem na baczność, nie wiedząc oczywiście, co się dzieje.

Moja mina, tak samo jak i miny pozostałych osadzonych, musiała być nietęga, ponieważ wszyscy trzech strażnicy zaczęli pokładać się ze śmiechu. Kiedy już wszyscy staliśmy zszokowani na baczność, drzwi zamknęły się. „Nie! Nie! To jakiś koszmar” – myślałem.

Pozostali współtowarzysze dali wyraz swojemu zdenerwowaniu, na głos komentując to, czego przed chwilą byliśmy świadkami.

– To skurwysyny!

–Co to w ogóle ma znaczyć!? Co za zachowanie?

Mnie natomiast nawet nie chciało się odzywać. Naciągnąłem na głowę śmierzący koc, usiłując znów zapaść w sen, dzięki któremu znajdowałem się z dala od tego miejsca. Sen jednak nie nadchodził. Do godziny dwunastej słuchałem rozmowy sąsiadów z „koi”, czyli z łóżek naprzeciwko. Dowiedziałem się, że

Heniek śpiący na dolnej koi, siedzi za jazdę po pijanemu, natomiast Rysiek z górnego łóżka, jest tu za jakieś malwersacje finansowe. Choć na człowieka obracającego znacznymi kwotami finansowymi zupełnie mi nie wyglądał. No, ale cóż, pozory mylą. O pozostałych dwóch współlokatorach nieco informacji uzyskałem dnia następnego.

Wszystkich nas obudził dzwonek, punkt piąta trzydzieści. Na wszelki wypadek, wszyscy ubrani w otrzymane stroje, stanęliśmy w rzędzie. Wyglądaliśmy niczym bohaterowie żywcem wyjęci z filmu „Flip i Flap”. Godzinę później otrzymaliśmy śniadanie. Czyli po pół bochenka chleba, po kawałku jakiejś dziwnej wędliny, trochę masła oraz kubek czarnej zbożowej kawy. Wszystko zjadłem w ciągu pięciu minut. Wyglądająca dziwnie wędlina nie była ostatecznie taka zła, być może dlatego, że byłem naprawdę głodny.

Zmywanie plastikowego talerza zimną wodą nie należy do przyjemności. Dlatego doprowadzenie go do stanu ponownej używalności zajęło mi dziesięć minut. Coraz bardziej wkurzał mnie natomiast Olgierd, rzekomo zatrzymany za pobicie funkcjonariusza na służbie. Gość cały czas chodził tak, jakby miał telewizory pod pachami, a do tego zaczął się strasznie rządzić. Jego współlokator z łóżka wyżej rano dostał od niego dość mocne uderzenie w twarz za to, że chrapał. Faktycznie było to uciążliwe, nawet dwa razy sam się przebudziłem, ale żeby od razu go bić? Tym bardziej, że Marcin był od niego dwadzieścia kilo lżejszy i co najmniej półtorej głowy niższy.

– Ty pierdolony alimenciarzu! – krzyczał do niego Olgierd. – Jeszcze raz w nocy mnie obudzisz i będziesz miał zakaz spania!

„Co za gość” – pomyślałem. Póki jednak Olgierd nie zacznie wchodzić mi bezpośrednio w drogę, postanowiłem nie reagować. Po co mi jakieś kłopoty już od pierwszego dnia.

Około godziny dwunastej odwiedził naszą celę wychowawca oddziału. Był to ktoś pełniący funkcję tak jakby łącznika między nami, skazanymi, a dyrektorem i administracją całego tego przybytku. Pan w moim wieku zakomunikował wszem i wobec, że jutro każdy z nas opuści celę przejściową, będąc przeniesionym na oddział mieszkalny. „To fajnie, skoro mamy być przeniesieni na oddziały mieszkalne, znaczy to, że nie będziemy już dłużej siedzieć w tej norze. No i w końcu nie będę musiał przebywać z tym idiotą Olgierdem”.

Tuż po obiedzie Marcin został kolejnym uderzeniem w twarz zmotywowany do wysprzątania celi oraz oddania swojej kolacji, a jakże, komu by innemu, jak nie Olgierdowi. Przyznam szczerze, było mi go coraz bardziej szkoda, ale miałem nadzieję, że jutro to się na pewno skończy.

Punkt piętnasta ogłoszono spacer. O dziwo, wyszedłem na niego tylko ja. Nie pofatygował się także nikt z pozostałych siedmiu przejściowych cel.

– Chce ci się iść samemu? – zapytał strażnik.

– Tak – odpowiedziałem.

Ten pokręcił niezadowolony głową, prowadząc mnie na niewielkie, jedno z ośmiu, pół spacerowych.

Nie miałem pojęcia, jak wyglądają pozostałe spacerniaki, ale ten, na którym ja się znajdowałem, miał rozmiary celi, z której przed chwilą wyszedłem. Zewsząd otaczały mnie wysokie na trzy metry mury,

zwieńczone drutem kolczastym. Co kilka minut zmieniałem stronę, w którą spacerowałem. Mimo wszystko fajnie było zaczerpnąć świeżego powietrza. Godzinny spacer minął mi, nawet nie wiem kiedy. Przyznam się szczerze, że mógłbym tak pochodzić w kółko jeszcze ze dwie godziny. Niestety, nie było takiej możliwości. Znów więc wracałem do celi, do tego mroku, zaduchu i do towarzystwa, którego wolałbym nigdy nie poznać.

Tak minął mi pierwszy dzień w całości spędzony w areszcie śledczym. Wieczorem wszyscy prócz Olgierda wpatrywaliśmy się w sufit. Nikt nie miał ochoty na rozmowę. Jedynie ten prymityw coś tam gadał w przerwach między wykonywanymi seriami pompek. Zbyttno się nie wsłuchiwałem w to, co wygadywał, lecz pewnych słów po prostu nie dało się nie usłyszeć.

– Trzeba być twardym, więzienie gardzi słabymi, dlatego, Marcinku, ty zawsze będziesz tylko maskotką i sprzątającym, a niewykluczone, że będziesz robił za dziewczynkę.

Co za ciężki debil. Najgorszy jednak był brak możliwości niesłuchania tego kretyna. Już po tej gadce wiedziałem, iż jest to słaby psychicznie ludek, chcący swoją agresją wzbudzić u innych posłuch i uznanie. Piętnaście pompek w serii robiłem, jak miałem dziesięć lat, a dla niego był to nie lada wyczyn. Najbardziej obawiałem się trafienia do celi, gdzie będę musiał przebywać z kilkoma takimi idiotami. To byłaby kara sama w sobie.

Następnego dnia od rana znów czekał na nas ten sam rozkład „zajęć”: apel punkt piąta trzydzieści, śniadanie godzinę później i beczynność. Nie było tutaj żadnej książki. Był oczywiście modlitewnik, pilnie studiowany przez Olgierda, ale tego typu lektury zupełnie mnie nie interesowały. Swoją drogą to dziwny mechanizm z tymi modlitwami. Po tamtej stronie muru ludzie czasami po kilka lat nawet nie pomyślą o modlitwie czy o pójściu do kościoła. Tu natomiast zaczynają się modlić. Zauważyłem to zarówno u Olgierda, Henia, jak i Frania. Moim zdaniem są dwie możliwości tłumaczące takie postępowanie. Pierwsza zgodna z przysłowiem: „Jak trwoga, to do Boga”. Druga natomiast wynika najzwyczajniej w świecie z nudów. Tutaj czas jakby zatrzymał się w miejscu.

Normalnie o tej godzinie byłbym w pracy lub kończył pisanie nieszczęsnej książki, przez którą się tu znalazłem, być może siedziałbym gdzieś w kawiarni z moją dziewczyną. Mógłbym robić mnóstwo rzeczy, na które miałbym ochotę w danej chwili. Tu tymczasem leżę na łóżku, gapiąc się beczynnie w sufit, w towarzystwie ewidentnie mi nieodpowiadającym. Mam tylko nadzieję, że to nie potrwa długo, w przeciwnym razie mogę zwariować. Autentycznie mam wrażenie, że nadciągają czarne, paskudne, złe myśli. Ale przecież ktoś wcześniej czy później musi się zorientować w bezsensie przedsięwziętych wobec mnie środków.

No właśnie, wcześniej czy później. Trudno powiedzieć, ile to później może trwać. Rozmyślenia przerwał mi chrobot otwieranego zamka w drzwiach. Wszyscy stanęliśmy na baczność, czekając na dalszy bieg wydarzeń. Tymczasem w drzwiach stanął wychowawca. Zakomunikował nam abyśmy pozabierali wszystkie swoje rzeczy z racji przerzucenia nas do innych cel. Mieliśmy na to pół godziny.

Gotowy do opuszczenia tej dziury byłem piętnaście minut później. Całe szczęście wszyscy zostaliśmy po przenoszeniu na inne oddziały. Nie to, żebym miał coś przeciwko Marcinowi, Heniowi, czy Frankowi, ale Olgierd był prawdziwym uciążliwcem.

Wylądowałem na piętrze oznaczonym numerem trzecim. Zanim zostałem wprowadzony do nowej celi, musiałem wejść do pokoju wychowawcy. Siedzący za biurkiem jegomość był starszym już panem, na

pierwszy rzut oka nieco przeżartym rutyną wykonywanych obowiązków. Rozmowa nie trwała długo, a mój rozmówca nie raczył nawet oderwać wzroku od swego monitora komputerowego.

Cela, w której miałem być umieszczony, była siedmioosobowa i, jak do tej pory, panował na niej spokój. Mojemu opiekunowi chodziło najwyraźniej o to, by moje przybycie tegoż spokoju nie zmąciło. Zadeklarowałem raczej pokojowe nastawienie, po czym zostałem wraz z całym swoim niemałym bagażem odprowadzony pod drzwi wejściowe celi oznaczonej numerem trzydzieści pięć.

W pierwszej chwili, gdy się otworzyły, uderzył we mnie niesamowity zaduch. Był to jednak zaledwie wierzchołek góry lodowej tego, co czekało mnie później. Pierwsze odczucie: dom wariatów. W jednym rogu niewielkiego pomieszczenia dwa postawne typy jakimś kawałkiem drewnianego kija z przymocowanymi na jego końcach foliowymi reklamówkami wypełnionymi półtoralitrowymi butelkami wody ćwiczyło biceps.

Nieco dalej, ze wzrokiem tępo utkwionym w ekran telewizora, leżało na swych kojach kolejnych dwóch więźniów, a w miejscu, które było kibelem, ktoś właśnie spuszczał wodę. Za to przy jednym z dwóch małych stolików starszy pan gotował, jeśli dobrze dostrzegłem, ryż. Okna były pozamykane, z racji odbywającego się treningu, dlatego temperatura w celi niewiele ustępowała tej w saunie. Przerażony rozejrzałem się po wszystkich łóżkach, nie dostrzegając żadnego wolnego.

– Na razie postaw swoje rzeczy tutaj, a po treningu zrobimy ci miejsce – oznajmił jeden z trenujących.

Nie miałem wyjścia, musiałem posłuchać wytycznych. Siedziałem tak, nie wiedząc za bardzo, co ze sobą zrobić przez następne pięćdziesiąt minut. Z kibla w tym czasie wyszedł szczupły brunet. Od samego początku uważnie mi się przyglądał. Czasami tak jest, że od razu wiadomo: ten typ działa mi na nerwy, nie lubię go i nie wiem, co musiałoby się wydarzyć, żebym go polubił. Dokładnie tak było w tym przypadku.

Dwaj kulturyści wyjęli, nie mam pojęcia skąd, dwie blaszki z przewodem zakończonym wtyczką. Blaszki włożyli do wiadra wypełnionego w trzech czwartych swej objętości wodą, następnie podłączyli wtyczkę do kontaktu. Takiemu podgrzewaniu wody towarzyszyło dość głośnie buczenie.

– Za co siedzisz? – Zapytał jeden z ćwiczących.

– Za usiłowanie podrabiania pieniędzy i handel bronią, ale to bzdura, kompletne nieporozumienie.

– Jasne, każdy siedzi tu za nieporozumienie.

– Ty, a może ty siedzisz za pedofilię, tylko wychowek kazał ci do niczego się nie pucować! – wykrzyczał szczupły brunet.

– No coś ty, zwariowałeś? Jaka pedofilia?

– Tak, kurwa, to pokaż papiery!

W tej chwili zacząłem przeszukiwać wszystkie swe szpargały w celu znalezienia dokumentów sądowych. Finał był taki, że cały mój misternie zwinięty pakunek z rzeczami osobistymi rozwalił się. Ale za to znalazłem dokumenty. Czym prędzej podałem je brunetowi. Ten, po trzydziestu sekundach przeglądania, podał je kolejnemu z moich współlokatorów.

– No! Masz szczęście! Inaczej byśmy cię przekopali i pognali!

Cokolwiek miało to oznaczać, akurat kompletnie się tym nie przejąłem. Wiedziałem, że jestem w porządku, do tego moje zatrzymanie jest zwykłym nieporozumieniem, no i co ten brunecik mógłby mi zrobić? Co prawda, gdyby pomógł mu któryś z trenujących, pewnie bym poległ, ale póki co z całego tego towarzystwa tylko on wydał mi się konfliktowy. Kilka minut później, rozłokowawszy wszystkie swoje rzeczy, położyłem się na łóżku.

– No no! Już się zmęczyłeś? – zaczął rozmowę brunet.

– Nie, po prostu nie chcę przeszkadzać – odpowiedziałem.

Spojrzał na mnie tą swą groźną miną wywołującą u mnie raczej śmiech.

– Dobra Mike, daj mu spokój, niech się wyśpi. Jutro wytłumaczy mu się wszystko, co i jak. Mam tylko nadzieję, że wiesz, jak się masz zachowywać.

– Za bardzo nie wiem – odpowiedziałem zmieszany.

– Kurwa, jak ktoś jest w kiblu, to nie pijesz ani nie jesz. Tak samo, jak widzisz, że ktoś je, to nie lecisz od razu do kibla, tylko czekasz, aż skończy. Za każdym razem, jak z niego wychodzisz, to myj ręce i nie puszczaj bąków przy jedzeniu. Rozumiemy się?

– No jasne, nawet jak byłem...

Drugi z ćwiczących przerwał mi jednak w pół zdania:

– Dobra, swoją niesamowitą historię opowiesz kiedy indziej, teraz masz tylko tego przestrzegać.

Skinąłem głową w geście zrozumienia. Tymczasem brunet już więcej się nie odezwał, ja natomiast zacząłem rozmyślać nad znaczeniem słów „wytłumaczy mu się, co i jak”. Jednakże moja ciekawość miała być zaspokojona dopiero dnia następnego. Dzisiaj prócz kolacji i apelu, nic więcej się nie wydarzyło. Byłbym zapomniał o dzisiejszym obiedzie, było to mistrzostwo świata. W życiu nie widziałem w taki sposób przyrządzonego kotleta z soi. Autentycznie, był nie do ugryzienia, a w smaku przypominał kawałek gumy. Całe szczęście, że sprawę uratowały ziemniaki i zupa, której nazwy nie znałem, ale nigdy wcześniej takiej nie jadłem. Dwóch typów przez cały czas gapiących się w telewizor, tuż po godzinie dziewiątej zdjęło swe ubrania skarbowe (tak nazywano ciuchy, które tu dostaliśmy), następnie przykryło się kocami i zasnęło.

Kolejny dzień w tym koszmarze dobiegł końca, z utęsknieniem czekałem na jakikolwiek sygnał świadczący o jakimkolwiek ruchu w mojej sprawie. Tak bardzo chciałem wrócić do domu, do rodziny, do najbliższych mi osób, że nawet nie zauważyłem, kiedy po moim policzku spłynęła łza, tuż za nią spłynęła następna i jeszcze jedna. Odwróciłem się twarzą do ściany. Lepiej, żeby tego nikt nie widział. Nie jestem tu długo, ale zdążyłem już zauważyć, że nie jest to miejsce tolerancyjne, wczuwające się w ludzką tragedię, a wręcz przeciwnie, okazana słabość zostanie bezwzględnie i z całym impetem wykorzystana przeciwko tobie. Niestety, taka właśnie była jego specyfika.

CDN.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

G.G, dodano 05.12.2015 04:19

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.